

RECENZJE

Anna Rau

Bridget Jones przegrywa z wampirem, czyli Chcę być babcią!

W swoim czasie hasło "Bridget Jones to ja!" pojawiało się dosłownie wszędzie - w kolorowych czasopismach, w telewizji i na billboardach. Rozentuzjasmowane czytelniczki z uśmiechem przyznawały się do pokrewieństwa duchowego z głupiotką, niezdecydowaną i skłonną do nałogów Brytyjką. Gdyby książka Noëmi Szécsi miała kampanię reklamową podobną tej towarzyszącej powiastce Helen Fielding, z pewnością mało kto wystąpiłoby z podobną deklaracją! Nie twierdzą bynajmniej, iż sama przeczytałam "Dziennik B. J." z obrzydzeniem - to była nawet przyjemna rozrywka, ale i nic więcej - żeby już budować na tym całą filozofię życiową typu "Jedz, pij i łap faceciki"... Co innego, gdyby wziąć pod uwagę Jerne Volta-Ampere, czyli główną bohaterkę "Ugrofińskiej wampirzycy"...

Współczesny wampir już od dawna przestał być nudnym straszylem w brudnych szmatkach - spójrzmy choćby na pociągającego (oczywiście w momentach dobrego nastawienia do świata) Draculę z filmu Coppoli, z jego pochodzeniem, magnetyzmem i całym byciem trendy w ówczesnych salonach. Groteskowo zębaty potwór bez uczuć i ambicji przeminął - wampir stał się jednym z uznanych gatunków ziemskich. Oczywiście, pewne normy muszą być zachowane, np. odwiecznej mocy niszczycielskiej wody święconej i krzyża współczesny wampiryzm nigdy nie przekroczy. Ale słońce już dawno temu przestało stanowić bezsensowną barierę bytowania. Tak samo jak swobodne mieszkanie wśród ludzi (przy dosłownie minimalnych staraniach o jakiś "ludzki" kamuflaż). Ktoś mógłby powiedzieć: "Baśnie, jejmość, opowiadasz! Po co ten wywód? Przecież historie o wampirach to banialuki!". Tak? To dlaczego przez wieki tak liczne

opowiadki ludowe okazywały się zasadami świata? Zresztą może to i banialuki, a może... tylko kamuflaż dla jeszcze jednej odmiany homo sapiens, odmiany tak specyficznej, iż zasługują na odmienne miano. Jako dowód przedstawiam mój ulubiony cytat z "Wywiadu z Wampirem", częściową definicję wampiryzmu: "Wampir powinien być piękny, potężny i bez skrupułów". Czyż nie tacy są, przykładowo, dzisiejsi politycy, rekiny biznesu, gwiazdy (pop)kultury i w ogóle wszyscy, którzy pragną "do czegoś dojść w życiu" albo chociaż "się dorobić"? Przepraszam, jeśli ktoś poczuł się obrażony, ale do prawdy, wampiryzmu nie trzeba się wstyżać: przestrzegając podstaw etyki, można być całkiem przyzwoitym członkiem społeczeństwa, czy wręcz dobrym człowiekiem. Ups, przepraszam, wampirem. Taka jest (a przynajmniej stara się być) narratorka "Ugrofińskiej wampirzycy", wspomniana już Jerne - tak



więc powołując się na jej wyznania nie wstyd zakrzyknąć "Oto ja!". Wykształcona (specjalność - literatura dziecięca), twórcza (bajkopisarstwo), w miarę reprezentacyjna (zewnątrznie, oczywiście), elastyczna (bez trudu mieści się w "ludzkim" świecie), zrównoważona, wyrozumiała dla siebie i mężczyzn, z poczuciem humoru i wyobraźnią, lekko hipisowska. Może trochę dziwna

(wampiryzm), ale z klasą.

Niestety, moją faworytką do tytułu "Ulubiony Wzorzec Osobowy", autentyczną Klasą Pierwszą, jest jej Babka! "Niestety" dlatego, iż wampiryzm Babki trochę kolidował z powszechnie uznanymi normami współżycia społecznego (przechowywanie we własnym mieszkaniu gromady wypasionych szcurków podczas deratyzacji kamienicy), a pewne poczynania (rzadkie, mogły budzić hmm... zastrzeżenia (przemienienie ciała byłego męża przez maszynkę do mięsa. Ale... i tak umarł, był bardzo schorowany, i jak twierdziła pewna lekarka z filmu "Seksmisja" - pozostawić go tak, byłoby marnotrawstwem. W życiu wampira bardzo liczy się każde białko!). I po prostu - coż to była za kobieta! Zachowała urodę i "pudrowość" fin de siecle'u przy rzeczywistej, a ściśle ukrywanej, kondycji stali. Błyskawiczna jak internet XXI wieku. Zmienna, kapryśna i nieprzewidywalna, a przez to fascynująca. Cudownie niezależna i przymilnie przylepna zgodnie ze swojego autorstwa dewizą życiową: "Mężczyźni są do ssania" (dosłownie - jak to u wampirów - jakkolwiek dwuznacznie by to brzmiało).

Może to wszystko niezbyt altruistyczne, ale zdrowe. Dama śpi w trumnie dla tradycji i pewnego pionu moralnego, a jednocześnie jest przy tym jakże ludzka! Z poświęceniem wychowuje porzuconą w dzieciństwie wnuczkę (w dzieciństwie z racji posiadania zdrowego rozsądku oczywiście oddaje ją do luksusowej szkoły z internatem), autentycznie martwiąc się jej nieprzystosowaniem, brakiem stylu i ambicji. Posiada niebanalne hobby - z powagą i zaangażowaniem kolekcjonuje horrory literackie - od tych najstarszych, wręcz klasyki gatunku, po współczesne. Jest prawdziwą patriotką - kocha swój kraj i nie widzi siebie gdzie indziej niż na pięknej ziemi węgierskiej (szczególnie w wielokulturowym Budapeszcie), przy jednoczesnym właściwym podejściu do atrakcyjności innych krajów (urlopy i wycieczki w celach rozrywkowych i zdrowotnych - konserwacja zimnem). Posiada

wdzięk szczypty wewnętrznego snobizmu (jeśli wizytówki to wyłącznie na zamówienie w dobrym wydawnictwie, podpisane "Ugrofińska wampirzycą", gdyż ma się rozumieć w towarzystwie brzmi to lepiej niż trywialna "Wampirzycy z Węgier"). Lubi trufle, alkohol i renifery. No i czy nie jest fascynująca ta "aroganka piękna kobieta z piątego piętra", jak ją nazywają sąsiedzi?

Jak twierdzą egzorcyci, łatwo zostać wampirem, jeszcze łatwiej stać się babką, ale babką-ugrofińską wampirzycą, to dopiero wyzwanie. Warto mieć taki cel w życiu, a powinno się zacząć od przeczytania książki N. Szécsi. Jeśli ktoś nie lubi fantastyki, niech dojrzy w tej historii parabolę skomplikowanych związków i "odwiecznych archetypów" wspólnego życia dwóch kobiet z różnych pokoleń, coś między fascynacją a nienawiścią. Wzajemną zależność na granicy uzależnienia (ale nie niezdrowego). Pojedynek między wiedzą i doświadczeniem a świeżością spojrzenia i elastycznością w dostosowaniu się do nowych czasów. Problematykę pytania, dlaczego od kolejnych związków damsko-męskich i tak mocniejsza (niż śmierć, chi, chi) jest relacja matka (babka) - córka (wnuczka). Kwestię prób i rezultatów zastąpienia archetypu matki przez operatywną babkę. Czy w ogóle (i jak bardzo krzywdząca) nieobecność rodziców wpływa na osobowość "porzuconego" (odrzuconego) dziecka. W jaki sposób brak ojca rzutuje na trudności w przyszłym budowaniu rodziny. Ale to wszystko już gdzieś było, więc warto przyjąć książkę według jej tytułu - po prostu "ciekawie o wampirach". Bo po co komplikować - lepiej być wampirem!

Anna Rau

Noëmi Szécsi
Ugrofińska wampirzycy
przeł. Justyna Goszczyńska
Wyd. Czarne, Wołowiec 2005

Niepokojąca reszta z procesu rytualizacji

Komiczne efekty, jakie przynosi stosowanie zwykłej psychologii w stosunku do zwierząt, automatycznie pojawiają się również wtedy, gdy metody etologii przyłożymy bez niezbędnych korekt do świata społecznego, politycznego i moralnego człowieka. Nie w celu wszczęcia scholastycznej już chyba dzisiaj dysputy nad realizmem chcę przypomnieć, iż język w nie mniejszym stopniu niż świat realny uczestniczy w wytworzeniu obiektów percepcji. Im język bardziej "sztuczny" i rozwinięty, tym więcej specyficznych obiektów produkuje wraz ze sposobami ich ujmowania czy "używania", które można utożsamić z ich "sensem". Dla wielkich fizyków dwudziestowiecznych atomy były tyleż bytami fizycznymi co formalnymi, strukturalnymi, gramatycznymi. Bez syntaktyki nie ma semantyki. Jeżeli dodamy do tego kłopotliwy fakt, że nie istnieje jeden język uniwersalny, hiperjęzyk, język wszystkich języków, w którym bezproblemowo moglibyśmy wypowiadać się o wszystkim do wszystkich - nie jest nim ani język literacki, ani potoczny; ani naukowy, ani poetycki; ani filozoficzny, ani ludowy; ani "sztuczny" ani "naturalny" - to pozostaje nam jedynie umiejętność korzystanie z konwencji, którą każdy język zakłada. Tym bardziej, iż zakłada on także "własny świat", z reguły "słabo" porównywalny ze "światami" innych języków. Nie jesteśmy jednak skazani na językowy autyzm. W sukurs przychodzi nam prawda o metaforyczności każdego języka, w tym naukowego także. Błogosławione są skutki metafory: otwieranie osobnej tendencji każdej konwencji językowej. Wchodzi w to również otwarcie na tłumaczenie jednej na inną. Powstała wręcz znana koncepcja, iż każdy język jest jako taki tłumaczeniem. Ogromny jest potencjał informacyjny, estetyczny, perswazyjny, wyrazowy, a nawet moralny języka. O ile stosujemy go w pewnych, nie ściśle oczywiście określonych, granicach, wszystkie jego ośrodki stają przed nami otworem, a oddziaływanie dochodzi do głosu. Czego zabrakło Konradowi Lorenzowi, autorowi "Tak zwanego zła": el-

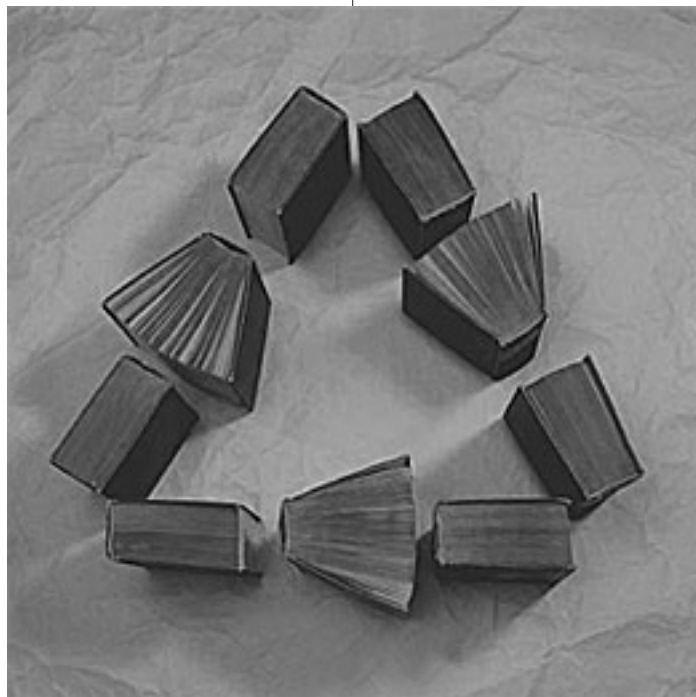
ementarnej wiedzy na ten temat, umiejętności, doświadczenia czy wiary w figuratywną moc języka, stylu i metody naukowej, że w trzech ostatnich rozdziałach, mówiąc "wprost" o człowieku, zniweczył dużą część tego, co osiągnął w trybie "niewprost", w którym "zwierzę" odegrało doskonałą rolę ogólnej figury z niespotykaną siłą przekonującą. Ale gdy prawdę nauki odrywa się od prawdy filozofii, psychologii i ... filologii, co z niej pozostaje?

Specyficznie ludzkie formy wewnątrzgatunkowej agresji, kluczowego pojęcia książki, nie poddały się więc w pełni zabiegom analizy etologicznej. W końcu nauka sama będąc tylko częścią kultury ludzkiej jawi się jako zrytualizowana wewnątrzgatunkowa agresja istoty kulturowej, jaką jest człowiek. Czy jakikolwiek rytuał posiada siły i środki do własnej autoanalizy? Nie sądzę. Nastąpiłaby samodekonstrukcja rytuału, z którego jak z puszeki Pandory otrzymalibyśmy z powrotem nagą agresję bez formy, bez cudzysłowu "tak zwana". Spytajmy w tym miejscu o relację między nauką a kulturą, o to, czy nauka nie stała się jednak do pewnego stopnia koniem trojańskim kultury. Czy w wyniku swych procedur wytrwałego poszukiwania całego łańcucha przyczynowego dla każdego zjawiska, całego obrazu funkcjonalnego rzeczywistości, nie pragnie w końcowym efekcie zająć miejsca przedmiotu swych badań i stać się "zdekonspirowaną kulturą"? A Lorenz proponuje wszakże przyjęcie rozumu naukowego jako powszechnego ze względu na wyższość formy. To drugie potknięcie wielkiego uczonego

Nauka jednakże trzymana w korbach racjonalnej i pragmatycznej instytucjonalizacji, a więc uspołeczniona, niezabsolutyzowana, niewalcząca agresywnie o dominującą pozycję, nieprzeciwstawiana humanistyce, może tylko poszerzyć możliwości naszego dyskursu. I tak się dzieje w przeważającej części książki, dopóki Lorenz trzyma się swojej roli, nie przekraczając progu niekompetencji. Pojęcie wewnątrzgatunkowej agresji, agresji we właściwym znaczeniu,

sensu stricto - wedle Lorenza nie istnieje ponieważ agresja międzygatunkowa, chyba że w czysto abstrakcyjnym, ogólnym sensie jako presja selekcyjna - okazało się wyjątkowo płodne i genialnie wykorzystane przez naukowca. Uzyskaliśmy bardzo zracjonalizowany, wyważony, zdemitologizowany i oddemonizowany obraz Darwinowskiej Ewolucji. Z jednej strony traktuje Lorenz agresję jako osnowę całego ożywionego świata, od form najniższych aż po kulturę ludzką, od życia instynktowego po uczucia wyższe takie jak miłość i przyjaźń. Stanowi ona plastyczny materiał wyjściowy, z którego dwaj Wielcy Konstruktorzy: mutacja genetyczna i dobór naturalny, kształtują gatunki biologiczne z ich anatomią, fizjologią, systemami zachowań. Nie istnieje ani zjawisko całkowitej redukcji, ani stanu zerowego agresji, a jedynie jeden wielki, filogenetyczny proces jej przetwarzania. Zmienność gatunkowa jest jego przejawem. To rodzaj energii rozpisywanej przez Ewolucję anatomicznie, fizjologicznie, behawioralnie. Nie ma alternatywy dla agresji. Jedynym sposobem na nią, jaki wynalazła i uporczywie stosuje Ewolucja jest ucieczka w nieprzerwany ciąg modyfikowanych form.

obiektem agresji na zastępczy (czasem czysto fikcyjny, formalny), nowe ukierunkowanie, przekierunkowanie, rytualizacja - oto z grubsza rzecz biorąc repertuar Ewolucji, dzięki któremu następuje filogenetyczny cud przemiany. Akt walki poprzez stadia rytuału grożenia, pojednania, ewentualnie inne potrafi płynnie przejść w akty przyjaźni i ściśle, bliskie więzi osobiste. Śmiech na przykład jest filogenetycznie przekształconym gestem grożenia, z niego się wywodzi. Uniwersum agresji? To teraz wcale nie brzmi tak groźnie, sugeruje austriacki noblista. Pojęcie rytualizacji agresji rzuca nowe światło na popędy jako takie. To zabrzmia śmiesznie, ale nie są one czymś naturalnym, czy może lepiej byłoby powiedziane - danym, stałym, pierwotnym, niezmiennym. Są wykształconym w długim, filogenetycznym procesie i utrwalonym fizjologicznie, a także genetycznie automatyzmem reagowania i zachowania. W trakcie rytualizacji niektórych zachowań agresywnych, ich przestrzennej i ruchowej aranżacji, uzyskują one nie tylko niezależne, symboliczne znaczenie oraz charakter sygnału wywoławczego. Usamodzielniają się w odrębną jednostkę motywacyjną, tworzą



Z drugiej strony. Lorenz niestrudzenie podkreśla pozytywną stronę agresji. Bez niej niemożliwe jest przetrwanie ani pojedynczego osobnika, ani gatunku. Problem tylko w tym, by nadając jej strukturę, równoważyć i opanować tendencje destruktywne. Zmiana

nową potrzebę psychiczną zwierzęcia, cel jego dążeń. Lorenz w przekonujący sposób pokazuje wzajemne przechodzenie i wymiennosc funkcji takich mechanizmów regulacyjnych jak instynkt, rytuał, przyzwyczajenie, obyczaj, choć część z nich odnosi się do filogenezy, a część

do ontogenezy. Oczywiście w świetle tych analiz Lorenza się staje, że nawet tak "stary" popęd jak popęd seksualny mógł powstać w filogenetycznie zainicjowanej rytualizacji agresji. Lorenz podaje niezliczone przykłady współwystępowania zachowań agresywnych i seksualnych, nie tylko ich naprzemiennosc, ale i wzajemną odwracalność. Wiele rytuałów informacyjnych i komunikacyjnych to nic innego jak dawne rytuały podporządkowania bezpośrednio związane z agresją, które wykształciły się z pewnych gestów grzecznościowych jako stadiów pośrednich. Z jednej strony więc wszechobecność wewnątrzgatunkowej agresji, z drugiej jednakże nieskończone

wręcz continuum form jej sublimacji.

Jednym z sukcesów Ewolucji jest nieobecność kanibalizmu wśród zwierząt tego samego gatunku (poza sporadycznymi przypadkami oraz występowaniem w skrajnych warunkach). Lorenz twierdzi, że nie są znane mechanizmy hamujące ten rodzaj popędu. Tymczasem łatwo to wyjaśnić, gdy przyjmie się "popędową" definicję gatunku. Każdy gatunek definiowany jest "od wewnątrz" poprzez popęd seksualny, a "od zewnątrz" przez inne popędy, w tym przede wszystkim ten związany z zaspokajaniem głodu. Inne gatunki są obojętne erotycznie, ponieważ reakcje na nie powiązane zostały z innymi popędami. Przedstawiciel innego

gatunku to albo pokarm, albo zagrożenie. Powiedziałbym, iż jest to rytualizacja, czy może lepiej aranżacja międzygatunkowej agresji. Inaczej mówiąc, najważniejsze, najstarsze, tak zwane wielkie popędy mają znaczenie ponadgatunkowe, filogenetyczne.

Czy Ewolucja odniosła pełny sukces, czy pokryła mapą rytualizacji cały obszar agresji, która przecież jest immanentna życiu jako takiemu? Czy "tak zwane zło" wyparło zło prawdziwe. Nawet jeżeli za Lorenzem odrzucimy metafizyczne pojmowanie zła, jego mitologiczne odmiany, mimo to musimy na powyższe pytanie odpowiedzieć negatywnie. Istnieje zło prawdziwe, choć jest ono zawsze konkretne, w konk-

retny sposób się przejawiające. Nawet gdy istota go doznająca odbiera to w odmienny sposób. A tak właśnie go odbiera. Zło jest nieokreślone i takim pozostanie. Bo jest wylomem w rytualizacji, jej załamaniem się, skończonością, nieostatecznością. Czym jest rytualizacja? Na pewno czymś większym od nas. Nie na tyle jednak wielkim, by nas kiedyś nie zawiodła. Nawet jeśli gwarancję na jej niezawodność dawała sama Ewolucja.

Marek Parulski

Konrad Lorenz
Tak zwane zło
przeł. Anna Danuta Tauszyńska
PIW, Warszawa 2003

RECENZJE

Bernadetta Darska

Trauma trójkątów

Pozornie książka "Ojciec i ojciec" to opowieść o zdradzie rodem z seriali telewizyjnych. Oto bowiem Karel van Loon sytuacją wyjściową czyni scenę, gdy ojciec trzynastoletniego Bo dowiaduje się, że jest bezpłodny, że zawsze był bezpłodny. Matka chłopca nie żyje od kilku lat, nie może zatem udzielić odpowiedzi na pytanie: kto jest biologicznym ojcem. I w tym miejscu mamy początek historii: Armin, ów pechowy ojciec, zaczyna tropić przeszłość i teraźniejszość, chce wiedzieć, aby odzyskać dla siebie przyszłość.

Dalej mogłoby więc być serialowo - drugie życie żony, jakiś kochanek, który gdy dowiaduje się o dziecku, chce odzyskać syna. Sprawa sądowa, łączy i spektakularny happy end, gdzie miłość ojcowsko-synowska zwycięża. Van Loon unika jednak sentymentalnych rozwiązań. Nie epatuje wielkimi zruszeniami i emocjami eksplodującymi nazbyt swobodnie w zależności od sytuacji. Stawia na powściągliwość, na dyskrepcję, na uchylenie rąbka tajemnicy za ledwie. Kto jest ojcem? - paradoksalnie w powieści "Ojciec i ojciec" to nie jest najważniejsze pytanie. Przecież tak naprawdę możemy się tego domyślić prawie na początku książki, a nasze przypuszczenia - gdy potwierdzą się na końcu książki - okazują się nawet trochę banalne, jakby skądś znane: z filmów, z innych książek. Kto jest ojcem? - odpowiedź schodzi tutaj

na dalszy plan. Centrum opowieści skupia się bowiem wokół zdrady i wokół ludzkiej konfiguracji trójkąta.

Wszyscy bohaterowie tkwią bowiem w jakimś emocjonalnym trójkącie, zawsze jest ktoś trzeci, kto determinuje i uruchamia zdradę, ale zarazem ten, kto ową zdradę obłaskawia i uprąmnia. W pierwszej chwili jednoznacznie opowiadamy się za "biednym" zdradzonym Arminem. Potem wszystko się odwraca i tak naprawdę wszyscy obecni na kartach książki zaczynają tonąć w szarościach, nic nie jest czarno-białe.

Wielka miłość - Armin i Monika. Dla niego także pierwsze doświadczenie seksualne. Ellen, najlepsza przyjaciółka Moniki. We trójkę uprawiają seks. Po śmierci Moniki to ona zajmie jej miejsce i to ona będzie strzegła jej tajemnicy. To z Ellen Armin zdradza Monikę, gdy ta jest w zaawansowanej ciąży. To z Ellen uprawia seks zaraz po pogrzebie Moniki i po pogrzebie ojca. Rozmawiają: "- Podobnie jak wtedy, teraz też nie byliśmy we dwójkę. - Było nas troje. - Tak. - Też musiałeś myśleć o niej? - Tak." Monika towarzyszy więc zawsze swojemu mężczyźnie i swojej przyjaciółce. Ellen przejmuje jej rolę - zostaje z Arminem i Bo. Trójkąta przyświeca także relacjom z rodzicami i Moniki, i Armina. W przypadku rodziców kobiety, Armin zostaje wykluczony. Kiedy Moniki już nie ma, okazuje się, że

to córkę wymazywano cały czas z pamięci. Rodzice Armina zostają powiązani o wiele mocniej z rodziną syna. Mamy tu właściwie aż cztery trójkąty: Ojciec - Matka - Monika, Ojciec - Monika - Bo, Ojciec - Armin - Bo, Ojciec - Monika - Armin. Wszystkim relacjom towarzyszy pomieszanie miłości, wyciszzonej nienawiści, pogodzenia się z losem. Trauma każdego z bohaterów tragedii może być przeżywana jedynie w samotności. Towarzyszy im jakże przewrotny i okrutny fragment: "Dzieci urodzone przez kobietę podobne są do tego, kogo kocha. Jeśli jest to jej mąż, podobne są do męża. Jeśli jednak zadaje się z cudzołożnikiem, podobne są do cudzołożnika".

Miłość okazuje się naznaczona cierpieniem. Błędy zmuszają do zmierzania się z własnymi emocjami i do przewartościowania tego, co dotychczas uchodziło za pewnik. Miłość u van Loona określana jest przez niepewność i zaskoczenie. Dopiero trudne próby jakby oczyszczają ideał, ukazując to, co było naprawdę. Kto zdradził bardziej? Czyja zdrada dotkliwiej uderza w to, co najważniejsze lub za takie powinno uchodzić? Czy istnieje tak w ogóle coś, co pozwoli odmierzyć siłę i znaczenie zdrady? Czy zdrada doznana równoważy zdradę zadaną? Czy odcięcie się od zdrady, a jednocześnie brak żalu z powodu zdrady, to ciągle jest zdrada? Czy można nauczyć się żyć ze zdradą? Wokół tych pytań konstruuje swoją powieść Karel van Loon. "Ojciec i ojciec" to książka o objawieniu i objaśnieniu zdrady. O pozorach, które traktujemy jako prawdę. O złudzeniu i konieczności

życia bez złudzeń. A tego typu rozważań nigdy za dużo.

Bernadetta Darska

Karel van Loon, Ojciec i ojciec,
przeł. Ewa Jusewicz-Kalter, Wyd.
W.A.B., Warszawa 2005.

Osobowość Grocholi

Najnowszą książką Katarzyny Grocholi "Osobowość ęmy" przedstawia życie młodych ludzi, grupki przyjaciół, przeciętniaków jakich nie ma, którzy mają swoje światy, a w nich problemy mające podobno przyciągnąć uwagę czytelnika. Opowieść się ciągnie, chcąc oszukać niby zaskakującymi rozwiązaniami, których "nieprzewidywalność", polegająca na tym, kto kogo kocha i kto jest kim, już w połowie czytania książki staje się nazbyt oczywista.

Bohaterowie Grocholi są nudni, bepciwci, banalni i na siłę wyluzowani. Nie dają się polubić, nie umieją też sobą zainteresować. Wywołują u czytelnika odczucie beznadziejnej obojętności, a nic gorszego nie może się przytrafić temu, kto chce się "sprzedać" szerszemu odbiorcy i odnieść sukces.

Sposób przedstawiania literackiej fikcji przez Grocholę jest dla mnie dość frapujący. Zastanawia mnie, dlaczego taka interesująca osobowość pisarki, nie ma oddźwięku na papierze. Grocholę mogą poznać jedynie na podstawie jej sposobu przedstawiania siebie masowemu odbiorcy, jej gestów, dowcipów, wypowiedianych myśli itp. Wnioskuje zatem, z tego skromnego materiału, że Grochola jest fajną babką, z ciętym dowcipem, odważnymi poglądami, pełną ciepła i swobodnego stylu życia. Oczekuję od takiej pisarki znacznie więcej niż pozbawionej nerwu i charakteru ostatniej jej książki.

I tak jakbym chciała choć przez chwilę znaleźć się w "aurze osoby Grocholi", tak już nie chciałabym znaleźć się w świecie literackiej fikcji "Osobowości ęmy".

Przedzierając się przez trudy i znoje przyjaciół z najnowszej książki autorki, nasunęło mi się przypuszczenie, że Grochola napisała "Osobowość ęmy" dosłownie na kolanie i to w dwa, trzy dni. Uderza w tekście brak dbałości o szczegóły i szybkie, bylejakie zakończenia akcji. Ponadto zdarzenia, które przytrafiają się bohaterom, ich sposób zachowania i wypowiedzania się, choć pod przykrywką "jesteśmy fajni i nieprzewidywalni", kryją w sobie nudę, prostotę i "obciachowość" współczesnej pseudonoweli.

Gdy czytałam o losach grupki przyjaciół, to ziewałam, drapałam się w kolano i nie wchodząc, spe-

cialnie wnikliwie, w szczegóły ich problemów, bardzo dobrze orientowałam się na bieżąco w akcji.

Taka powierzchowność książki jest dla mnie trochę zasmucająca. Pisanie zdradza w jakiś sposób niepowtarzalność osoby pisarza, rozwiązując zagadkę, kim on jest. Czytając tekst, chcę czuć jego bliskość, utożsamiać się z jego myślami. To właśnie głównie sprawia, że ślepo sięgam po jego nowe dzieło, które, gdy będę czytać, pozwoli mi znaleźć się w jego pisarskim towarzystwie. Grochola nie daje mi tej szansy.

Uważam, że "Osobowość ęmy" to literatura dla nastolatków. Oni w szybki sposób rozprawiliby się z problemami takich bohaterów, których poziom emocjonalny jest bliski trzynastolatkowi. Jako starsza czytelniczka wymagam od pisarki Grocholi, posiadającej intrygującą osobowość (na pewno nie ęmy), znacznie bardziej skomplikowanej treści. Autorka ma niezwykłą łatwość nawiązywania kontaktu z czytelnikiem poprzez specyficzną formę dialogu literackiego. Pisze tak, jakby się do czytającego śmiała. Jednak brakuje jej dwóch rzeczy: umiejętności dbania o szczegóły (które pomagają wciągnąć bez pamięci w świat literacki) oraz pomysłu na napisanie dobrej książki.

Nie wierzę, że "Osobowość ęmy" to wszystko, co potrafi pokazać Grochola. Autorka jest zbyt inteligentna na takie banalne wyrażanie siebie. Ale posiada jednak ogromną moc przyciągania odbiorców swojego produktu. Nawet więc jak jej nie wyjdzie stworzenie najlepszej rzeczy, to i tak zostanie ona opisana i skomsumowana przez czytelniczą publiczność. Może więc o to właśnie chodzi? Jedyne o to...

Ja, jako fanka osobowości Grocholi i jako niewdzięczna jej czytelniczka, czekam cierpliwie na dzieło literackie, które w końcu obnaży prawdziwy charakter pisarki. Niezbyt dobrą zaś "Osobowość ęmy" odkładam na bok, autorce życząc powodzenia.

Magdalena Ludwiczak

Katarzyna Grocholi
Osobowość ęmy
Wydawnictwo Autorskie
Warszawa 2005

Subkultura szczytów betonowej cywilizacji

"Subway", czyli amerykańskie metro, "subzero", czyli temperatury ujemne, wreszcie subkultura. Powyższe terminy choć odległe w sensie znaczeniowym, lingwistycznym, geograficznym, także kulturowym (metro anglo lub amerykano pełni funkcji wiele i nie są one związane wyłącznie z podróżowaniem środkami transportu publicznego) wykazują jednak jasne i daleko idące pokrewieństwo. Chodzi o pewną rzeczywistość skrywaną lub kryjącą się pod podszejką tego, co na powierzchni, tego, co w sensie fizycznym neutralne, wreszcie w przypadku subkultury, tego, co powszechnie przyjęte za obowiązujące. Ostatnie wobec tego pojęcie utożsamiane będzie ze znanym z powiedzenia workiem, w którym czai się kot (choć do ostatniej chwili nikt nie wie jakiej on maści i rasy). Jeśli jednak istnieje coś powszechnie obowiązującego lub uznanego za społecznie wartościowe, warto zastanowić się kto decyduje i wyznacza kryteria akceptacji - czy w istocie akceptacja nie jest tylko dyktatem większości i efektem zachowań, o których często zwykło się mówić, że to dobry przykład ilustrujący zachowania znane psychologii tłumu. Wątpliwości można mnożyć dalej, pytając o to, czy zachodzące w przestrzeni i czasie zjawiska akceptują wszyscy członkowie danej społeczności. Okazuje się, że odsetek nieakceptujących, w zależności od zjawiska, bywa różny, z pewnością jednak ci "wyróżniający się" są zawsze obecni. Wątpliwości ciąg dalszy: czy wątpiący, myślący inaczej, inaczej postrzegający otaczający świat, szukający nowych doznań, goniący za pełnią wrażeń oferowanych przez życie są indywidualistami, czy odmieńcami. Czy wyróżniają się w oczach reszty społeczeństwa pozytywnie, czy postrzegani są jako mniejszość, którą z konieczności trzeba tolerować, outsiderzy, socjologiczny błąd statystyczny?

Wiek XXI docenia indywidualizm, kreatywność, zdolność do zachowań decydujących o możliwości ocalenia tożsamości jednostki. Z drugiej jednak strony ten sam wiek jest apoteozą uniwersalizmu, unifikacji. Makrokor-

poracje stają się domami-kostkami wypełnionymi boksami, w których miliony ludzi wykonują podobną pracę. Azjatyckie koncerty lansują do granic posuniętą identyczność zachowań, ubioru, wizerunku, skrywaną pod podszejką solidarności i wierności tysiącleciom tradycji narodowej. Wytwórnice fonograficzne, filmowe, kompanie wydawnicze kreują świat odlany z tej samej formy, składany niczym na tej samej taśmie produkcyjnej. Wreszcie świat maszyn ułatwiający człowiekowi życie, coraz bardziej go uzależnia. Wszystkie powyższe ośrodki, o niewątpliwie kulturotwórczej funkcji, anektują kolejne obszary życia, powodując że świat ludzki przypomina lasy Amazonii. Po starciu z dominującą kulturą Zachodu nic już nie jest takie samo. Człowiek, sprawca-ogniwo pierwsze reakcji łańcuchowej, doszedłszy do wniosku, że obecna rzeczywistość jest w istocie samowystarczalna, szuka dla siebie miejsc jeszcze nieodkrytych, nisz ekologicznych, w których może zachować poczucie wolności, niezależności, inności. W istocie o inność chodzi. Wystarczy zwrócić uwagę na modę i stylistykę - ciągły tuning, żeby tylko się wyróżniać. Gdy jednak każdy chce się wyróżnić, wszyscy coraz bardziej się upodabniają. Od momentu zaistnienia w dziejach globu homo sapiens, na ziemi istniały jednostki uznawane przez resztę wspólnoty za nieprzystosowane i przez to patologiczne, zwykle eliminowane, gdyż uważane za słabsze lub w najlepszym razie skazywane na wygnanie. Dziś jest inaczej. Za wygnanymi lub wybierającymi banicję świadomie w pogoń rusza moda, żeby tylko oswoić, ugłaskać i... sprzedać, przedtem jednak wylansować, uczynić globalnym.

Kulturowa banicja doczekała się z czasem swojej etykiety. Nazwano ją ogólnie subkulturą i nacechowano pejoratywnie. Stąd, jak pisze Marian Filipiak, mowa o "negacji obowiązujących wzorów kulturowych, rewolcie i buncie". Powrócić trzeba jednak do początku rozważań, kto orzekł, że inne musi być gorzej, aspołeczne? Ci dyktujący warunki, posiadający "pakiet kon-

trolny”, przystosowani, których siła wynika z bycia większością? Wracając jednak do istoty pojęcia, oznacza ono przede wszystkim pewną odrębność, spójną całość zanurzoną w środowisku zwykle wrogim i przez to obcym (kolejność odwrotna również jest dopuszczalna). Idąc za definicją Czesława Czapowa, subkultura jest wobec tego pewnym układem wzorów kulturowych, odpowiednio wyselekcjonowanych ze względu na charakterystyczne cechy określonego, partykularnego środowiska społecznego i ze względu na cechy ról społecznych, które dla tego środowiska są charakterystyczne. Nieco przewrotnie można stwierdzić, że kreacyjną w stosunku do środowisk określanymi jako subkultury funkcję, pełni ogół społeczeństwa, wyznaczający sztywne ramy zachowań. W miarę upływu czasu okazuje się dopiero, że dana subkultura jest atrakcyjna marketingowo. Warto chociażby wymienić subkultury freakerów, hakerów - bohaterów wielu filmów z pojęciem science w tle i obecnym gdzieś przedrostkiem alter. Można jednak wymieniać dalej: surferzy, skaterzy i cała gama entuzjastów tzw. sportów ekstremalnych - to właśnie przykłady pogoni rynku za innością mogąca przynieść zysk.

Ktoś może powiedzieć, że współczesność jest środowiskiem nieprzystosowanych, ponieważ świat przyspieszył niczym w gigantycznej wirówce, prowadząc do przewartościowania i odrzucenia tego, co tradycyjne, wartościowe i niewytrzymujące konkurencji z atrakcyjną konsumpcyjnie rzeczywistością, prowadząc do konfliktu i podziału społecznego na tych, którzy świetnie się w nowej rzeczywistości odnajdują oraz tych, którzy sobie nie radzą. Podobny sąd zdaje się być jednak błędny, gdyż trzeba by zanegować istnienie wielu wcześniej funkcjonujących subkultur, z których tak wiele odnalazło swe miejsce w polskiej rzeczywistości lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, lecz także amerykańskiej i brytyjskiej, czasowo korespondującej z narodzinami Beatelsów, wojną w Wietnamie, czy hipisowsko-rockową kontestacją.

Subkultury istniały zawsze, tylko nie zawsze potrafiłszy je nazwać. Bezblędnie za to wskazywałyśmy na te elementy, które drażniły resztę społeczeństwa, środowiska życia społeczności subkulturowych. Ich funkcjonowanie zasadnym czynił fakt, iż zawsze towarzyszyła im nowo-

czesność, złożona w istocie z następujących po sobie fragmentów. Jeśli dodać do tego fakt kolejny, niezbity, według którego subkultury rozwijały się zwykle w oparciu o pewne pokrewieństwo doznań, zainteresowań, skupione były wokół jakiegoś uznanego za atrakcyjny przez grupę obiektu, dojdziemy do wniosku, że chyba najwcześniejszym historycznie twórcą subkultury był starogrecki Ikar. Ten, który w młodzieńczym porywie i upojeniu nieskrępowanym lotem, po tylu latach niewoli, stracił marzenia, tracąc jednocześnie życie. Los Ikara zresztą pozostaje znamienny, ponieważ jednym z możliwych, choć odleglejszych znaczeniowo, synonimów subkulturowych, urastających do rangi symbolu jest właśnie wolny, nieskrępowany lot. Szybowanie po niebie to kwintesencja wolnej woli i jednocześnie najstarsze z marzeń człowieka, od tysiącleci wznoszącego oczy w kierunku nieskończonego błękitu.

Ikar był wobec tego konsumentem, powiedzielibyśmy “mody powstającej w opozycji do tego, co dziś ponowoczesne”. Jako przedstawiciel i twórca antycznej “subkultury” funkcjonował w opozycji do tego, co konwencjonalne. Jednocześnie był autentyczny, miał bowiem rzadką dziś możliwość wykreowania czegoś nieznanego wcześniej. Za sprawą swego ojca odkrył nową jakość, nową rzeczywistość do tej pory niedostępną dla człowieka. Obecnie zaś powstawanie subkultury nie przypomina aktu tworzenia, kreacji z niczego. Co najwyżej efektem będzie “surfowanie po stylach i powstanie postsubkultury”, która (nie jest to przykład mający piętnować, lecz zwracać uwagę na swoistą wtórność) przypominać może bohatera Marry Shelley, powołanego do życia przez człowieka i stworzonego z wielu ludzkich ciał. Pozszywany i pobudzony do życia impulsem elektrycznym, był tylko sumą tworzących go szczątków, nie bytem autonomicznym. Doktor Frankenstein niczym dzisiejsi poszukiwacze religii, stylów życia, poglądów, przekonań surfował, próbując i odrzucając.

David Muggleton analizując zjawisko funkcjonowania subkultur zastanawia się nad znaczeniem pojęcia w ponowoczesnym świecie, sugerując “rozpad społeczeństwa masowego, któremu brakuje spójnej, dominującej kultury”. Wówczas trzeba by, uzupełniając rozważania badacza, pisać raczej o końcu nie tylko kultury dominującej, lecz o wszelkich opozycyjnych

wobec niej subkulturach. Bowiem tracąc przeciwnika tracimy argument - sprzeciw nie jest już konieczny. W podobnej sytuacji zjawisko obecności w kulturze oficjalnej subkultury należałoby zastąpić innym. Zasadne zatem zdaje się w XXI wieku, wieku medialnego, służącego transmisji strumienia nieskończenie wielu możliwych wzorców, mówienie o powstawaniu federacji subkultur, próbujących zagospodarować miejsce po kulturach narodowych, które współtworząc medialny konglomerat stały się w rzeczywistości tożsame z szumem fal radiowych, tłem, z którym przegrały walkę o prymat.

Wobec tego można przytoczyć kolejny z przykładów rodem z kina, tym razem katastroficznego. Wielki krach i mozolne odrodzenie. Przed oczy cisną się obrazy z “Dnia zagłady” i wielu innych eksploatujących schemat produkcji na cele z “Wodnym światem” i “Listonoszem”, ten ostatni przykład jest znamienny dla rozważań poświęconych subkulturom. Jeśli kontynuować myśl o federacji subkultur, to tylko w kontekście tego obrazu.

Sporty ekstremalne, obecny w krwioobiegu czynnik strachu, do granic posunięty bodypiercing, czy subkultury oparte na danym gatunku muzyki, są powielanym tylko schematem, zyskującym status substytutu. Założono im bowiem kaganiec komercjalizmu. “Wielki błękit” Bessona stracił czar, a jego bohater byłby obecnie tylko jednym z wielu nurków głębinowych.

Wspinaczka skałkowa oswojona została przez firmy produkujące odpowiednie wyposażenie, rolkarze i skaterzy są obok graficiarzy najczęstszymi aktorami kampanii reklamowych serwujących wolność i świeżość, jeśli nie w butelce, to w pastylkach. Zdaje się, że nie ma już szans na powstanie prawdziwie autentycznej i w pełni niezależnej (niezależność nie jest tu wymieniana przypadkowo) subkultury. Okazuje się jednak, że istnieje (choć nie wiadomo jak długo) środowisko, dla którego wolność ciała i umysłu, bo czysty i jasny, skoncentrowany jest niezmiernie istotny, istnieje i jak mówi współtwórca ruchu “istniał zawsze, tylko nikt nie nadał mu nazwy, nikt nie zamknął w pudełku, nie zaszuffladował”. Ta stosunkowo mało znana i młoda subkultura dokonała czegoś, co tak dobrze jest nam znane ze świata zwierząt, mowa o sztuce adaptacji w przypadku degradacji środowiska właściwego

danemu gatunkowi. W przypadku człowieka jednak sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. To on przecież niezmiennie jest czynnikiem działającym destrukcyjnie na wszelkie znane ekosystemy. Niszcząca bezustannie, zachowuje się niczym trawiący lasy pożar, pozostawia po sobie niemalże pustynny krajobraz. Pustynia wykreowana przez nas to betonowy gąszcz drapaczy chmur, ulic, autostrad, okalających wszystko osiedli, namnażający się z niesamowitą szybkością nowotwór. Założyciele ruchu wobec tego zaadaptowali się w znanym sobie od urodzenia kamienno-szkłano-stalowym labiryncie ulic, budynków, instytucji. Nazwali siebie free runnerami, tracerami, goniącymi za wolnością, poczuciem nieskrępowanego lotu, ludźmi przekraczającymi granice, łamiącymi bariery, które wyznacza sprawność fizyczna. Ruszyli w drogę, gdyż free running, znany także jako parkour, to przede wszystkim podróż.

Istotą parkour jest pokonywanie wszelkich przeszkód znajdujących się na drodze tramera zmierzającego do siebie tylko znanego celu. Podróż przypomina medytację, free running zaś porównuje się często z samodoskonaleniem znanym z azjatyckich sztuk walki. Ich filozofia zakłada przecież wykraczanie poza bariery ciała i umysłu. Najistotniejsze jest odnalezienie drogi do samopoznania, a walczący mistrzowie nigdy nie wykorzystują swoich umiejętności przeciw drugiemu człowiekowi.

Tracerzy wierzą i przekonują, że ostatecznym i jedynym celem free runningu jest to, aby dać ponieść się tęsknocie do wolności. Jej osiągnięcie warunkuje, będący podstawą starożytnej filozofii przyrody, ruch, ożywcza siła, która nie pozwala przestać, zatrzymać się nawet na moment, póki wędrowka nie dobiegnie końca. Ponieważ wszystko, co nas otacza, jest relatywne i zmienne traser nie patrzy za siebie, jego celem jest przyszłość.

Niektórzy widzą w parkour odmianę sportu ekstremalnego, inni, wśród nich Francuzi: Dawid Belle i Sebastian Foucan, założyciele ruchu, namawiają do odmiennego spojrzenia na to zjawisko, proponując jako punkt odniesienia taniec, jeden z najdoskonalszych sposobów na wyrażenie siebie poprzez ruch.

Parkour to istota wolności w zurbanizowanym miejskim środowisku, pułapce, która więzi nas tysiącami prowadzących donikąd stopniami, ogrodzeniami, ciasny-

mi pomieszczeniami budynków. Sposobem oderwania się od tej rzeczywistości jest free running - styl życia, który przywędrował do wielu miast świata z Paryża i w błyskawicznym tempie zyskuje nowych fanów. Jak relacjonuje Adam Green, jeden z brytyjskich dziennikarzy, który nakręcił dokument poświęcony subkulturze tracerów, zatytułowany "Jump London", w parkur zbędne są gadzety, cała komercyjna oprawa w postaci przedmiotów, mierników, zapięć, ochraniaczy. Wszystko, czego potrzebuje free runner, to zapał i zwykłe trampki. Zapał do wspinaczki po przeszkodach powstających w efekcie kreatywnej mocy sprawczej architektów i biur projektowych. Mury, dachy, które pozwalają wyzwolić pokłady nieodkrytej energii życiowej i niesamowite umiejętności tracerów tworzących całe układy choreograficzne, powodujące, że zwykły bieg staje się kombinacją zaskakujących, akrobatycznych wyczynów, wykonywanych na pełnej prędkości, bez chwili odpoczynku.

Wszystko, co tracer spotyka na swej drodze, postrzegane jest jako przeszkoda pobudzająca ciało i oczyszczająca umysł. Ten musi być jasny i skoncentrowany. Stan wiecznej gotowości

zapewnia bezpieczeństwo. Nie można bowiem pozwolić sobie na brawurę w momencie, w którym jedyną asekuracją są siła mięśni i zwinne ciało. Z uwagi na podobne okoliczności oraz przestrzeń parkour postrzegany bywa także jako szkoła życia, ucząca tego, jak wyżyć się strachu przed tym, co niesie życie, przed tym, co niewiadome, nieoczekiwane. Free runnerzy szukają sposobów oswojenia rzeczywistości, tak jakby każdy kolejny dzień był tylko przeszkodą, którą można pokonać jednym skokiem. Free runnerzy, niczym mistrzowie i azjatyccy przewodnicy duchowi, doskonale znają swoje ograniczenia. Walczą z brawurą, ćwicząc, osiągają kolejne stopnie wtajemniczenia, tak, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo.

Improwizacja i kreatywność obok adaptacji i samodoskonalenia są kluczami do poznania własnych ograniczeń. Niezmiernie istotny jest jednak ciężki, czasem wieloletni, trening. To cecha wspólna parkour i sportów walki. Należy bowiem perfekcyjnie opanować techniki umożliwiające oddawanie dalekich skoków i techniki lądowań tak, aby nie odnieść obrażeń. Ważne jest również wspomniane wcześniej piękno, wartość

estetyczna, gdyż jak podkreślają tracerzy "pokonanie jednej czy dwóch przeszkód to nie parkour. Stworzenie własnego stylu, własnej wizytówki, własnej techniki opartej na całych kombinacjach skoków i trików składających się na nieskończenie doskonały płynny lot ponad przeszkodami, to właśnie parkour".

Ruch tracerów, zwanych również free runnerami, ludzi, których połączyła tęsknota do niemalże pierwotnej, w sensie antropologicznym, wolności, uznawanych przez wielu tzw. wzorowych obywateli za szkodliwy społecznie i niebezpieczny, całkowicie niekomercyjny, z pewnością jest alternatywą dla okiełznanych (umierających) subkultur, gotowych do świadczenia usług reklamowych wielkim agencjom promocyjnym i stacjom telewizyjnym ze słowami real i danger w nazwie. To chyba jedna z ostatnich subkultur funkcjonujących na "pustyni rzeczywistości", niczym postnowoczesny ruch oporu przeciwstawiający się zniewoleniu, które zwykło się dla kamuflażu nazywać postępowem, postępowem mającym udoskonalić, uczynić wygodniejszym byt ludzki, a w rzeczywistości podstępnie odebrać człowiekowi wolną wolę.

Free runnerzy są nowym podziemiem, które dokonało swoistej rewolucji. To subkultura, która wyrwała się z przekłętego kręgu definiowanego przez drostkiem "sub". Opuszczając językowy i kulturowy podziemie świat, odnalazła swoją ziemię obiecaną - o ironio, są nią szczyty betonowej cywilizacji, dachy betonowych, zinstytucjonalizowanych więzień, w których każdy z nas tkwi kilkanaście godzin dziennie, goniąc za utudą sukcesu, który odmierzać mają dodatnie, wielocyfrowe salda naszych kont bankowych. Czy ziemia obiecana będzie zaczątkiem nowego świata? Czy podbita zostanie przez gadżetyzującą wszystko komercję? Pewnie kiedyś tak. Póki co jednak tracerzy upajają się nowoodkrytą przestrzenią, tą samą, która była niegdyś domem mitologicznego Ikara, który gdyby nie skrzydła, byłby pewnie proajcem subkultury parkour. Oby tylko free runnerzy nie podzielili jego losu.

Miłosz Babecki